



pismo miesięczne z obrazkami

— ✦ wychodzi w trzecią niedzielę każdego miesiąca. ✦ —

Redaktorka i wydawczyni:

**Marja Wysłouchowa.**

**Prenumerata wynosi:**

Rocznie wraz z przesyłką pocztową — 64 haleryz.

W Wielkopolsce i innych ziemiach zaboru pruskiego — 70 fenigów.

Adres Redakcji i Administracji: Chorążczyzna 5.

Z zapomogi Wydawnictwa Imienia ś. p. Kasyldy Kulikowskiej.

**Xwietnia** 

 **niedziela.**



Kwietnia niedziela — boży dzień... Pierwsza niedziela wiosny w krainie skalnych kęp i pustych ugorów. Toż wesele wielkie ogarnia zapadłą w kotlinie wioszczynę i słońce, dawny sprzymierzeniec ludzi, w radość ubiera

twarze, sposepniałe długą zimą i zaszuszone chrześcijańskim postem.

Po chatach siedzą ludzie, jak polne norniki. Tylko dym, pnący się z dachów sinymi wężykami ku górze, zdradza, że przy śniadaniu, kto żywnie chce i może, nabiałem krzepi się przy uroczystem święcie na cały boży dzień.

Na polach ptactwo rozkłada gospodarstwo swoje i białość słoneczna chodzi



po wydmach skalistych, zresztą nikt... Spokojnie i cicho.

Słońce stanęło już nad szczytem wysokiego Turbacza\*), kiedy z najdalszego zakątka wioski poczęli sypać się ludzie... Najpierw jedna postać, skulona, owinięta białą „łoktuską“, utyka po kamienistej drodze, wiodącej zygzakowato koło wody na dół. Sunie schylona, biała, koścista, jak „śmierć“... „Pobożne babsko“ — jak ją nazywają — „nigdy nie ominie różańca“.

Za nią po dwoje, troje i więcej szarych postaci wyłazi z poza opłotków na drogę. Niezadługo kamienisty zjazd zaroił się różnokolorowym tłumem. Gromadki mniejsze i większe mijają się, schodzą i giną wśród zabudowań przydrożnych, by wypłynąć za chwilę na czas niedługi, póki ich drzewa najbliższego osiedla nie zakryją.

Na ramieniu każdego kołysze się cienka, w czerwone wstążeczki przybrana habina; z każdej wykwitają gęsto miękkuchne, srebrzyste bazie...

W świątecznem usposobieniu rozgwarzył się wesoło idący lud. Powszedniość smutków i utrapień znikła z jego twarzy, a jeżeli nie uleciała, to skryła się gdzieś głęboko, na dno serca. Nie poznać, że wczoraj był tym samym ludem.

Chichoczą hałaśliwie młodzi, śmieją się cicho, dobrodusznie starzy, jakby ich wszystkich owładnęło szczęśliwe wspomnienie życia...

— W jakie to pędy Józka leci! — zaśmiał się jeden z parobczaków, wskazując habiną na dziewczynę, wyprzedzającą inne.

— Nie dziwota! — zauważył jeden ze starych. — Bedzie w kościele ścisk, bo wielgie święto. Chciałaby się przed ontarz dostać...

— Coby jej naprzód poświęcili!

— Jużci! Bo tam ino na nią czekają z kropidłem...

\*) Turbacz — najwyższy szczyt Gorców.

— Tatusiu! Bedziecie koszyki robić z poświęconych pręci, czy co? — zagadnął jakiś parobczak, przedrwiwając chłopinę mizernego, który dźwigał na ramieniu cały pęk bazi.

Chłopina uśmiechnął się, nie wiedzieć, jak...

— Czy... czy to inno...

Wyjąkane słowa zginęły w chórze śmiechu.

— Baziu, baziu, meee!... — krzyczy jeden z chłopaków, naśladując jagnię i ucieszony, jakby go kto samym miodem napasł, przeskakuje drobne kamienie.

— Ja gdowiec, wyście gdowa — tłómaczy jakiś podeszły gazda kobiecie, obok idącej — Pobiermy się na wolę boską i bedziemy pchać jako tę biedę kolanami przed sobą...

— A co się ma stać, to się stanie! — wypadło z gwarliwej gromadki.

— Pemału-że, moja Kasiu! — woła rosły chłopak, śmigając w powietrzu habiną.

Trzy Kasie naraz obejrzały się, co wywołało w gromadzie nowe śmiechy. A „ta czwarta“ ani spojrzała okiem, choć dobrze wie, że na nią wołał...

— Cicho! sygnują!...

Naraz ustały śmiechy. Zdąła dolatuje cienkie, monotonne brzmienie sygnaturki...

Ludzie przyspieszyli kroku. Lekka pogwarka zmieniła się w urywane, gorączkowe zdania. Wszystkim dzwoni w uszach i jęczy głos wołającej sygnaturki.

Wnet zeszedli na ławy i pod kościół, gdzie już tłumy pchały się wąską bramą i zalewały kolisty ementarz kościelny, otoczony niskim murem. Mały kościółek pomieścił zaledwie część zgromadzonego ludu.

Pozostały tłum szeroką ławą obiegł kościół dookoła i stoi, rozmodlony, w słońcu... Stoi cicho, w skupieniu, skąpany jasną białością wiosennych promieni.

Gdy przez drewniane ściany wypadnie stłumiony głos dzwonka od ołtarza — tłum chylił się i klęka, a z nim porusza się falą gęsty las wierzbowy pręci...

Wł. Orkan.







## Urywek z „Bitwy Racławickiej“.

...Coraz częściej, coraz gęściej  
 Kozactwo napada,  
 Wypuszcza się na prześpiegi,  
 Choć krzywdy nie zada.  
 Nie pomoże mocny Boże,  
 Tylko tak być musi,  
 Jak Moskala my nie zdusim,  
 To nas Moskal zdusi.  
 Popatrzał się nasz Kościuszko  
 Na mgliste niebiosy,  
 Zaplótł palce kłopotliwie  
 W swoje długie włosy.  
 Krótko cugle wziął do ręki,  
 Wpakował ostrogi.  
 Siwy konik stanął dęba,  
 Na obiedwie nogi,  
 Wstrząsnął grzywą,  
 Parsknął żywo,  
 I puścił się pędem,  
 Gdzie za wzgórzem kosynjery  
 Stali jednym rzędem.

Podniosły się przed Kościuszką  
 Na kosach czapeczki,  
 Pokłonił się naród wiejski,  
 Jak zboże z wietrzyku.  
 — „Wiwat! — krzykną — najmilejszy  
 Ojczy-Naczelniku!“

— Niechże będzie pochwalony!  
 — Na wieki! — odwrzasną —  
 A na rżysku od kos błysku  
 Zrobiło się jasno.

— No cóż, wiara Krakowiacy,  
 Jakże wam się widzi?  
 Czy się Polak dziś powstydzi?  
 — Zaś się tam powstydzi!  
 Jeszcze takie, Naczelniku,  
 Prawo nie nastalo,  
 Żeby się to polskie wojsko  
 Moskiewskiego bało!



Kościuszko wzywa kosynjerów na bój.





Niech docina! nie nowina  
 Krakusowi z kosą!  
 — A toć prawda — nie nowina!  
 Krzyki się podniosą.

I przyklękli, w kosy brzękli,  
 Jak zwyczajnie młotkiem.  
 A Kościuszko między ludźmi  
 Przejeżdżał pośrodkiem...

Idą, idą, chylą głowy,  
 Uśmiechają lica,  
 To zabrzęknie kosa pięknie,  
 To utnie skrzypica.

Uderzają... Uderzają..  
 Przycichł grzmot armatni,  
 Jeszcze jeden wystrzał pada...  
 Słyszycie! ostatni...

Komu pan Bóg błogosławi,  
 Temu się i wiedzie,  
 Idzie sobie Stach Świstacki,\*)  
 A Głowacki jedzie.

\*) Stach Świstacki i Głowacki byli to dwaj dzielni krakusy, co się najbardziej odznaczyli w bitwie Raclawickiej. — Wojtek Bartos, gospodarz ze wsi Rzędowice, którego Kościuszko nazywał Głowackim, — pierwszy wskoczył na baterję i czapkę swoją przykrył zapal armaty, aby mordercze kule nie leciały z jej paszczy w nasze szeregi.

Jedzie, jedzie na armacie,  
 Na smoku mosiężnym,  
 Czapką wiewa, a lud śpiewa,  
 Głosem tak potężnym,  
 Jak na wiosnę się przewala  
 Fala rozdasana:  
 „Danaż moja, dana, dana,  
 Ojczyzno kochana!”

I stanęli przed Kościuszką  
 Krakowiacy śmiali.  
 Do nóg mu się pokłonili,  
 Potem zawołali:  
 „Ojczy miły, Naczelniku,  
 Przynosimy plony:  
 Osiem armat na wojenkę,  
 A cztery na dzwony:  
 Żeby codziennie na świat biały  
 Brzmiały dzwony z wieży,  
 Na te wioski okoliczne,  
 Na ten wietrzyk świeży.  
 I żeby też panu Bogu  
 Była za to chwała,  
 I tej Matce Przenajświętszej,  
 Co nam sił dodała.

Oj, było tam pracy, było,  
 Ale już nic niema!  
 Ot tak, Ojczy, się robiło:  
 Ramiony obiema.  
 I nic nam się nie zdarzyło:  
 Wszystkie kości zdrowe,  
 Tylko że się osmaliło  
 Pawie piórko nowe...





## —\* A... B... C... \*—

(w streszczeniu.)

Dokończenie.

Tu na mgnienie oka w twarzy jej zaszła uderzająca zmiana. Jakby zawrzały w niej gwałtowne jakieś uczucia, podniosła czoło, oczy jej zabłyśły, usta drgnęły, i poprawiając ostatnie swe zdanie, głośno, wyraźnie rzekła:

— Myślę, że dobrze czyniłam....

Bezwarunkowo była winna. Rzecz dziwna jednak, dlaczego przewodniczący sądu nie powstał zaraz dla udania się z towarzyszymi swymi do komnaty narad, lecz przez kilka minut siedział z podniesioną trochę głową i jak w tęczę, wpatrywał się w obwinioną, — z jakim wyrazem oczu? tego z powodu oddalenia nikt z tłumu dostrzedz nie mógł. Patrzyli też na nią i jego towarzysze, z których jednemu brwi zsunęły się mocno. Trwało to bardzo krótko, minutę, najwyżej dwie minuty, poczem wstali i odeszli. Nie wracali długo. Sprawa była prosta i jasna. Dlaczegoż narada trwała tak długo?

Sędziowie wrócili nareszcie.

Za stołem, zasłanym sukniem, przewodniczący stanął pospołu z towarzyszymi swymi i zaczął czytać wyrok. Zauważono, że czytał nieco cichszym, niż zwykle głosem. Joanna Lipska, skazana została na dwieście talarów kary pieniężnej, a w razie, gdyby tej kwoty zapłacić nie mogła, na trzy miesiące więzienia.

Posiedzenie sądowe zamknięto. Publiczność odpływa z sali. Tu i ówdzie adwokaci pomiędzy sobą szepczą, że dziewczyna ta jest szczęśliwa, bo małym jeszcze kosztem przestępstwo swe okupi...

Jednak małość i wielkość są pojęciami nadzwyczaj względniemi. Tak zapewne myślał Mieczysław Lipski, który po usłyszeniu wyroku, najłżejszego poruszenia nie uczynił i stał przy ścianie, jak wprzód, skrzyżowane ramiona do piersi przycis-

kając. Po chwili jednak oderwał się od ściany nagłym ruchem i skoczył ku wyjściu. Kilku biurowych kolegów chciało go przytrzymać i mówić coś, może doradzać... Ale jego oczy były tak rozpalone, że zza ciemnych okularów widać było ich błyski, a ostre łokcie rozpychały wszystkich i wszystko dokoła. Tak wypadł do długiej i światłej sieni, z rzędem ogromnych, jasnych okien. A spostrzegłszy tu Joannę między wychodzącą publicznością, pociągnął ją ku ścianie, pod okno i schylony nad nią, prędko a cicho mówić zaczął:

— Idź sama do domu. Ja teraz z tobą iść nie mogę. Mam w mieście pilne sprawy. Za kilka godzin wrócę. Idź sama do domu.

Wpatrywał się w nią rozognionemi wciąż oczami, i mocno ściskając jej rękę, dodał:

— Nie lękaj się... nie lękaj się tylko... nie lękaj!

W kilka godzin potem, Mieczysław Lipski zmęczonym krokiem wstępował na schody swego mieszkania, powoli przeszedł kuchenkę, i w przyległym pokoju, z głośnym stęknieniem, usiadł na twardej staroświeckiej kanapie. Był widocznie ciężko znudzony, twarz jego wróciła do swej jednolitej papierowej białości; gięstem zamyślenia i stroskania przesuwał długą, białą swą ręką po zmarszczonem czole. Nie dziwiło go to wcale, że Joanny w kuchence nie zobaczył. Zeszła może na podwórze, do praczki, albo może zabrała ją na ten dzień do siebie poczciwa Różnowska.

Jednak Joanna znajdowała się w kuchence, tylko siedziała w ciemnym jej kątku, ukryta za wysoką poręczą łóżka. Widząc wchodzącego brata, nie zerwała się zaraz, jak to bywało zwykle, aby przywitać go i zapytać, czy czego nie potrzebuje? Nie mogła może od razu wyrwać się z zamyślenia, albo miała do niego



trochę żalu za to, że tak nieprędko wracał. Po kilku jednak minutach wstała, i powoli, cicho weszła do przyległego pokoju.

— Jesteś więc! gdzieżeś była?.. — zapytał Mieczysław.

— Byłam w domu, tylko mię nie spostrzegłeś. Rożnowska przysyłała prosić, abym do niej na resztę dnia przyszła, ale nie chciałam... Myślałam, że zaraz przyjdiesz... Przeszedłeś tak późno...

— Aha! późno! — mruknął kancelista.

Dziewczynę ta obojętność brata na jej losy widocznie w serce kłuła. Stała o kilka kroków przed nim, ze splecionymi na sukni rękami, oczy jej, głęboko zapadłe, smutnie świeciły pośród bardzo mizernej twarzy.

— Myślałam, że zechcesz pomówić ze mną w ostatnim dniu... przed rozstaniem...

— Jaki ostatni dzień? jakie rozstanie? — mruknął znowu brat.

— Czyżbyś już zapomniał, że jutro zaprowadzą mnie do więzienia?

Po twarzy jej przebiegło kilka bolesnych drgnięć. Zaraz jednak mówiła dalej:

— Trzy miesiące, to czas dość długi... ale i potem najpewniej nie wrócę już do ciebie, tylko gdziekolwiek, w jakakolwiek służbę pójdę... Trzeba więc pomyśleć o twojem gospodarstwie. Dziś wieczorem spiszę dokładnie twoją bieliznę i odzienie, abyś wiedział co masz, i okradać się nie dawał. Matkę Kostusia umówię, aby codzień zrana przychodziła mieszkanie ci uprzątnąć i samowar nastawić. W domu już jadać nie będziesz, bo któżby ci teraz gotował? Ale pójdę na chwilę do Rożnowskiej i dowiem się, czyby nie chciała za opłatą dawać obiadów. Miałbyś u niej jedzenie zdrowsze, niż w restauracji... Pamiętaj także, gdy wieczorem siadasz do pisania, lampę uważnie zapalać, bo masz zwyczaj czynić to tak, że pokój napelnia się dymem i śwędem, co ci bardzo na oczy szkodzi... W spiżarce przy kuchni, jest trochę masła, kaszy i mąki, a w piwnicy ziemniaków i warzywa sporo... dobrze zrobisz, oddając to wszystko Rożnowskiej, jeżeli u niej jadać będziesz. Zawsze to ci trochę pieniędzy oszczędzi...

Gdy tak mówiła, Mieczysław patrzył na nią z dziwnym wyrazem oczu. W tych przedwcześnie zmizerowanych i chorych oczach było tyle wesołości i razem tyle

żalu, że trudno byłoby powiedzieć, czy wybuchnie on zaraz śmiechem, czy płaczem. Gdy Joanna mówić przestała, zapytał:

— Czy skończyłaś?

— Tak, — odrzekła, — zresztą przez dzisiejszy wieczór i jutrzejszy ranek może jeszcze coś przypomnę sobie...

Nie spuszczając z niej wzroku, przez kilka sekund wstrząsał głową, jakby dziwił się czemuś lub nad czymś ubolewał. Potem mówić zaczął:

— I ty naprawdę myśleć mogłaś, że ja pozwolę na to, abyś szła do więzienia i trzy miesiące przesiedziała ze złodziejami i występniemi kobietami, w brudach, w błocie?...

Teraz Joanna zdziwiła się bardzo.

— Jakże może być inaczej? wyrok sądowy... ostateczny...

— Czyś nie słyszała? dwieście talarów kary pieniężnej, albo więzienie... dwieście talarów! wyraźnie: dwie-ście! Czy nie słyszałaś?

Uśmiechnęła się i ramionami wzruszyła.

— Owszem, słyszałam. Ale to wszystko jedno. Dla mnie sumę tę dostać jest tem samem, co zdjąć gwiazdę z nieba; ani pomyślałam o tem.

— Aha! nie pomyślałaś, — zawołał kancelista i tym razem, zerwawszy się z kanapy, wyprostował się w całej swej cienkości i wysokości, a długie kościste ramiona szeroko rozpostarłszy, wołał:

— Zobaczą cię stróże więzienni, jak swoje uszy bez lustra! Płwam ja na pieniądzu, gdy chodzi o honor, a może i życie mojej siostry! Bagatela! trzy miesiące w mokrych murach!

Nie chodził, ale biegał po pokoju, oddychając prędko i wymachując rękami. Joanna szeroko oczy ze zdziwienia otwierała.

— Ależ na miłość boską! Mieczku! co wygadujesz! Skądżebyś wziął tyle pieniędzy? Wszak to niepodobieństwo!

Stanął i dłonią o stół uderzył.

— Otóż wziąłem! otóż dostałem! Otóż przekonasz się, że nie jestem takim niedołęgą, na jakiego wyglądam, i że ty nie jesteś już tak znowu zupełnie sama na świecie!

Poskoczyła, i ręce jego w swoje pochwyciwszy, mocno je ścisnęła. Muśtwo uczuć wstrząsało jej duszą: niespodziana nadzieją wyzwolenia się od czegoś, przed



czem, w tajemnicy swej duszy śmiertelnie drżała; radość, którą jej sprawiał ten wybuch braterskiej czułości; najbardziej przecież strach...

— Skąd wzięłeś te pieniądze, Mieczku! Jakim sposobem dostałeś te pieniądze? Drogi mój, coś zrobił!

Spróbował ręce swe wydobyć z jej dłoni, ale ona je z całych sił, coraz mocniej ścisnęła.

— Skąd wzięłem? nie ukradłem ich przecież. Wiesz o tem dobrze, że nie ukradłem. Pożyczyłem i koniec!

Joanna od stóp do głowy zadrżała.

— Pożyczyłeś! — krzyknęła, — ależ to dla ciebie ostatnia zguba! Jak będziesz mógł tak wielką sumę zwrócić? Suchym chlebem chyba żyjąc! A któż ci pożyczył? Bogatych ludzi nie znamy. Pierwsza Roznowska dałaby, gdyby miała, ale nie ma. I nikt z tych biednych ludzi takich wielkich pieniędzy nie ma! Któż ci więc je pożyczył? Kto? kto? kto?

I dopóty ściagała go tem natarczywem, gwałtownym pytaniem, dopóty wzrok swój gorejący i strwożony w jego oczach zapaliła, dopóki z niechęcią i prawie gniwem nie wymówił nazwiska jednego z najbardziej znanych w tem mieście lichwiarzy.

Joanna, uderzyła głośno w dłoń, a potem niemi twarz sobie zakryła.

— Boże! — mówiła — Boże! Boże!

Przez kilka minut, prócz tego jednego wyrazu nie wymówić nie mogła. Biedny jej brat ze zwichniętem życiem, oddawał się jeszcze przez nią i dla niej w ręce lichwiarza, wstępował w przepaść długów, zgrzyzot, nędzy... Odjęła ręce od oczu i obejmując go ramionami, błagać zaczęła, aby pozwolił jej iść do więzienia. Mówiła mu, że jest zdrowa, silna, młoda i może wszystko wytrzymać; że słusznem jest, aby niosła odpowiedzialność za to, co czyniła sama; że ten dług, który zaciągnął, stokroć więcej sprawia jej bólu i trwogi, niż te trzy miesiące... tam, w więzieniu...

A gdy on przecząco wciąż głową wstrząsał i z wielkim wzruszeniem, lecz stanowczo powtarzał: „Nie, Joasiu, nie! nie! ja na to przystać nie mogę!” osunęła się na klęczki i rękoma kolana jego objawszy, błagała:

— Mieczku! najdroższy! pozwól, pozwól mi tam pójść, a pieniądze te odnieść temu, od kogo je wzięłeś... Zaraz, zaraz, zaraz je odnieś! Pozwól, braciszku złoty, pozwól mi tam pójść!

Pląkała gradem łez. Wielki warkocz jasnych włosów odwinał się z jej głowy, i rozpleciony, stargany, strugą bladego złota osypywał grube obuwie kancelisty. Ale on, schyliwszy się prędko i podnosząc ją z klęczek, długimi, twardymi ramionami mocno do swej piersi przycisnął.

— To już, moja droga, być nie może. Pieniądzy tych oddać nie mogę. Są już one u tego urzędnika; który tu przyjsz miał jutro rano, aby cię do więzienia zaprowadzić! Cha! cha! cha! cha!

Śmiał się trochę gapiowato, a trochę smutnie, ze szczególnem zmieszanem trykunka i gęstży. Ona cicho, rzewnie na jego piersi płakała. Stało się. Dlatego przez kilka godzin do domu nie wracał, że starał się o pieniądze, a dostał je temu, komu należało. W dążności bez granic, radość wyzwolenia, żal nad bratem i trwoga o jego przyszłość, przejmowały do głębi dziewczynę, starganą straszniemi wrażeniami tego dnia. Nie mogła mówić, tylko z całej siły przyciskała się do piersi tego dziwnego chłopca, który miał pozór tak zgnębiony i zamarty, wydawał się zwykle tak obojętny, a teraz...

Przycisnęła usta do jego ręki i cicho rzekła:

— Niechże więc będzie tak, jak ty chciałeś.

Zmęczony Mieczysław położył się na kanapie, za stołem, okrytym kancelaryjnemi papierami. Joanna wróciła do kuchni i zakrzętnęła się około nastawiania samowaru. Napełniła samowar wodą i ze dzbankiem w ręku stała chwilę nieruchoma. Potem, widocznie zmuszając się do ruchu, nabrała z piecyka węgli, które także do samowara wrzuciwszy, znowu zwiesiła ręce na suknię, i stanęła prosta, sztywna, szklanym wzrokiem patrząc na stojącą u ściany szafkę. Sprzęt ten przypomniawszy jej snąc o czemś, bo postąpiła ku niemu i zaczęła z niego wyjmować szklanki i łyżeczki. Ale te dwie ostatnie wypadły jej z ręki na podłogę, ona zaś, zamiast je podnieść, pochwyciła nóż i bułkę chleba. Ruchy jej były prędkie i nierówne, co chwila powstrzymywane nieodpartem zamysleniem. Nakoniec nóż i chleb na stół rzuciła, i rękami twarz zakrywając, a czoło przyciskając do drzwiczek szafki, wybuchnęła gwałtownie stłumionym płaczem. Co ona teraz z sobą pocznie? Jaka teraz będzie jego przyszłość? O! straszna pu-



stka jej życia, a straszniejsze jego troski, zgryzoty, ruina!

Stłumiła łkania i płakać przestała. Lękała się, aby jej płacz w przyległym pokoju nie był usłyszany i przestała płakać. Ale nic robić nie mogła; formalnie nie mogła. Trzeba jej było myśleć, myśleć, myśleć i myślami temi zjadać własne serce. Usiadła na ławce przy oknie i myślała. Osłupiały wzrok jej błądził za szybami, nie widząc nic, prócz kilku czarnych brzydkich dachów i kawałka nieba, zasnutego wydobywającym się z kominów dymem. Nie było w tem widoku żadnej rozrywki i żadnej pociechy: więc też twarz Joanny stawała się coraz bardziej posępna. Łzy jej oschły, ale bladą zazwyczaj cerę zapłynął odcień przykrej żółtości, a po ustach, po raz pierwszy w życiu, wić się zaczął gniewny, cierpki uśmiech.

Wtem, drzwi od kuchenki skrzyknęły i ukazały się dwie dziecinne postacie. Był to duży Kostuś w zwykłym ubraniu z grubego płótna, bosy, ciężki, przygarbiony.

Za rękę prowadził małą Maryskę, prędko drepczącą także bosemi nóżkami, które wydobywały się prawie po kolana zpod luźnej, spłowiałej sukieneczyny. Nie upłynęło kilku sekund, a chłopak, lękliwie i z zasępioną jakąś czułością z pod brwi spoglądając, przed Joanną ukląkł, dziewczynka zaś trzepocąc małemi nogami i rękami, z cichym chichotem na kolana jej wskoczyła. U nóg Joanny leżał pęk czeremchy, która teraz właśnie rozkwitała na świecie, a której sporą garść syn śluszarza narwał zapewne w czyimś ogrodzie, i milcząc, tu na podłodze położył. Silny zapach tego śnieżnego, wiosennego kwiatu napełnił kuchenkę. Kostuś zaś, wciąż tem samem spojrzeniem przywiązanego i lęklivego stworzenia z pod brwi na nią patrząc, wyjął z zanadru spory zeszyt i rozwarłszy go, powoli zaczął czytać:

— Próż-nia-ctwo jest ojcem wszystkich grzechów. Kto ra-no wsta-je, te-mu Pan Bóg da-je.

A mała Maryska, także z za sukienki wyjęła stary elementarzyk, zbrudzony, zgnieciony, i roztwierając go na tej karcie, gdzie się znajdował alfabet, zaczęła:

— A... b.. c...

Joanna z cicha śmiać się poczęła, i całowała ciemne, zmarszczone czoło chłopca i jędrny, rumiany policzek dziewczynki. Oni ucieszyli się tem bardzo. Ztąd

powstał mały gwar. Z sąsiedniego pokoju, nosowy, zaspany głos zapytał:

— Kto tam taki, Joasiu? Z kim rozmawiasz?

Joanna spłonęła ciemnym rumieńcem i twarz ku oknu odwracając, odpowiedziała:

— Dzieci...

— Dzieci! — zawołał Mieczysław i natychmiast stanął w progu. Na policzki jego znowu wybiły czerwone plamy, i oczy pałały, ale tym razem gniewem. Właściwie, był to gniew, pochodzący z przestachu, który wyraźnie malował się na twarzy, w postawie i wszystkich ruchach kancelisty.

— Znowu dzieci! — powtórzył głosem podniesionym, — czy zupełnie już mam zginąć przez te przebrzydłe bębny? Czy nie dość już było biedy? Jeszcze może miejsce w biurze, ostatni kawałek chleba mam stracić!

Machał rękami popędliwie i nogą o podłogę uderzał. Przestach niespodziewaną siłą nadawał jego głosowi. Przeraźliwie prawie krzyknął:

— Precz mi ztąd, malcy! Żeby tu od dnia dzisiejszego noga wasza nie postąpiła; bo jak was jeszcze kiedy zobaczę, na gorzkie jabłko zbiję. Precz! precz!

Chłopiec i dziewczynka w mgnieniu oka zniknęli...

Joanna zapaliła lampkę, przyrządziła herbatę, i razem z pokrajaną na talerzu bułką zaniósła bratu, który przy zapalanej też lampie pilnie już pisał. Codziennie spędzał nad takim pisaniem długie godziny i w biurze i w domu. Postawiwszy szklanekę i talerz na stole, pochyliła się i pocałowała schyloną nad papierami głowę brata. O! najłżejszej do niego nie czuła urazy. Miał prawo tak postąpić, był przełknięty, lękanie się to rozumiała. Tylko czuła, myślała, że znowu koniecznie coś z sobą począć wypada, jak najrychlej! jak najrychlej!

Tymczasem usiadła w kuchence i zaczęła wyszywać na nowej chustce cyfrę Mieczysława.

Czeremcha, przez dużego Kostusia przyniesiona, napełniała kuchenkę odurzającym zapachem. Samowar, stojący u pieca, szumiał i parą buchał. Z dołu, zpod podłogi dochodziły głuche szmery, nad którymi od chwili do chwili wzbijał się stuk przewróconego sprzętu, albo kłótlawy, czy



hulaszczy okrzyk. Szynek rozpoczął tam swoje nocne, podziemne życie.

Ale, co tam takiego zaszeleślało za wysoką poręczą łóżka — i z mroku, tuż przy ziemi, wysuwać się zaczęło? Zwierzątka? dziecko?... Jakieś dwie rączki opierały się o podłogę... jakieś jasne włosy odbiły się bladem złotem na tle brudnej ściany, jakaś para oczu zaświeciła przez czystym błękitem... Było to dziecko, które przez kilka sekund pocichu pełznąc na czworakach, nagle, z wybuchem śmiechu, wskoczyło na kolana osłupiałej w swym smutku dziewczyny.

Duży Kostuś uciekł, a mała Marysia schowała się tylko za łóżko i czekała, póki *pan* nie przestanie gniewać się i krzyzczać. Ona tu i dziś nocować będzie, jak wiele razy nocowała; a teraz chce trochę z elementarza poczytać, pokazać, co już umie... że już wszystko umie... Wszystko, od *a* aż do *p*... od *p*... nie umie ale, *wczoraj* nauczył się...

Chciała zapewne powiedzieć *jutro*, a powiedziała *wczoraj*, ale to nic! Joanna znówu całowała ją i zapytała, czy rodzice jej wiedzą o tem, że tu nocować zamierza?

Z przyległego pokoju zabrzmiało pytanie:

— Kto tam znówu? Z kim rozmawiasz, Joasiu?

Zcicha i z wielkiem zmieszaniem Joanna odrzekła:

— To Maryśka... Czy mam powiedzieć jej, aby szła precz?

W przyległym pokoju, przez długą minutę panowało milczenie; aż przewlekły, nosowy głos męski wyniół:

— Daj jej trochę herbaty.

W dole, pod podłogą, rozległo się znówu głośne stuknięcie i zawrzał bezładny hałas. Czy tam pijak jaki upadł i głową uderzył o róg ławy? Może człowiek na człowieka podniósł pięść tak silną, że go obalił na ziemię, okrytą śmieciem i zalaną trunkiem? Może to takim stukiem i krzykiem zawrzała tam bezrozumna, bezecna zabawa?

Nad zuchwałym hałasem szynku, w kuchence, oświetlonej małą lampą i napełnionej zapachem czeremchy, błada dziewczyna, z twarzą zmęczoną i zapłakanymi oczami, trzymała na kolanach bosa, śmiejące się dziecko. Zza krótkiej, spłowiałej sukienki, tłusta, czerwona rączka dziecinna wyjęła znówu mały, zbru-

dzony, zgnieciony elementarzyk, a srebrny głosik zadzwonił długim, figlarnym śmiechem.

Z przyległego pokoju ozwało się przeciągłe syknięcie:

— C-i-i-i-cho!

— C-i-i-i-cho! — schylona nad dzieckiem powtórzyła Joanna.

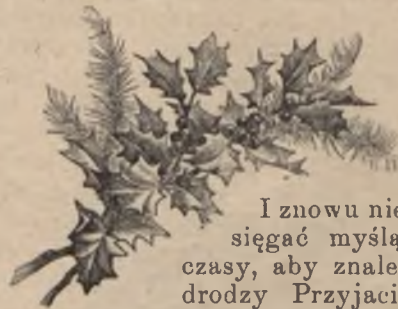
Małeństwo stłumiło srebrną dźwięczność swego głosu, i tłustym, krótkim paluszkami o każdą z liter uderzając, cicho, szepem prawie czytało:

-- A... b... c...

*Eliza Orzeszkowa.*



## Czyny nauczające.



I znówu nie potrzebuję sięgać myślą w dawne czasy, aby znaleźć dla Was, drodzy Przyjaciele, piękny czyn, niby perłę kosztowną. Znówu o terażniejszości mówić będę, — o człowieku, co po dziś dzień przyswieca nam blaskiem swego ducha, — po dziś dzień żyje wśród

nas i pracuje.

Pamiętacie zapewne, iż nadmieniałam w ostatnim numerze naszej gazetki, że zmarła niedawno autorka polska, śp. Ludwiga Godlewska, marzyła o napisaniu powiastki dla ludu i miała już do niej gotowy pomysł w głowie.



Owoż dochodzą mnie pytania serdeczne od tych, co mieli szczęście znać osobście p. Godlewską, jaki to był pomysł? o czym mianowicie pisać zamierzała?

Rozumiem one pytania: wiem jak drogą, jak bardzo drogą staje się dla nas każda myśl ludzi kochanych, — choćby nie urzeczywistniona, choćby jeno przelotna... Więc też pospieszam z odpowiedzią, która i dla mnie samej jest rozkoszą prawdziwą, bo słodko jest myśleć o tem, co piękne, wzniosłe, szlachetne.

\* \* \*

Było to w roku 1861, — roku wielkiej, błogosławionej pamięci. Duch wolności unosił się wtedy nad rozdartą Polską i wiewem potężnych piór budził naród do czynu, ofiary, do walki...

W Galicji i Księstwie Poznańskim domagano się praw, należnych narodowi głośno i śmiało w pismach, na zebraniach publicznych, a nawet w parlamencie wieńskim.

Ale w tej części naszej ojczyzny, — największej, którą moskal trzyma, w Królestwie i na Litwie, nie wolno było mówić ani pisać o tem, co serca przepelniało. Tam więc lud zbiorową modlitwą, pieśnią, obchodami rocznic narodowych wypowiedział swoje uczucia.

Po wszystkich większych miastach polskich i litewskich odbywały się takie manifestacje, jak nazywają zazwyczaj cudzoziemskim wyrazem publiczne, głośne objawy uczuć, przejmujących szerokie masy. Ale Warszawa przewodziła, jak zawsze, całemu krajowi. I wspaniała był widok ludu warszawskiego, gdy przeciągał ulicami miasta, wielki uniesieniem, gorejący zapalem, gotowy na śmierć! Po nad tłumem niezliczonym czeladzi rzemieślniczej, młodzieży, mieszczan, kobiet powiewały chorągwie narodowe, — od lat wielu niewidziane chorągwie narodowe, co były godłem Polski, mówiły o jej sławie, o jej bojach za wolność i ojczyznę! A młodzież niosła w rękę pochodnie płonące na znak, że światła pragnie, — niosła krzyże, symbole męki, na znak, że i najsroźszych nie ulęknie się katuszy, byle ohydne zerwać pęta...

Jakoż nie uląkł się męki i śmierci bohaterski lud warszawski!

Kiedy na modlących się uderzało wojsko moskiewskie, — kiedy w bezbronnych leciały kule mordercze, — tłum nie roz-

praszał się, nie szukał ratunku w ucieczce, ale podnosił wysoko krwawe trupy, od chorągwi, od krzyżów wymowniejsze i wołał z rozpaczą, ale bez wahania: „Strzelajcie! lepsza śmierć, niż niewola!“...

I krwią farbował się bruk Warszawy, — krwią ludu, przeczystą, ofiarną, za wolność wylaną... „Aż w targi poszedł nikiemny wydzierca, tak się przestraszył tej szczerzej krwi serca,“ aż uchylił głowę przed majestatem ludu.

Moc i wielkość ducha polskiego nigdy może nie objawiła się w sposób tak wyraźny, tak widomy, jak podczas manifestacji z r. 1861, które poprzedziły zbrojne powstanie 1863 r.

Ale pamiętajmy jedno: wzniosłe uczucia mogą ożywiać setki i tysiące dusz ludzkich, a jednak nie zabłysnąć nigdy czynem. Trzeba jakichś ludzi wybranych, doskonalszych, którzyby ogniem własnej piersi zapalili innych, — jak trzeba iskry z krzesiwa, aby smolne drzewo żywym buchnęło płomieniem. Owoż ludzi takich nie brakło Polsce w onych czasach. Za nimi, jako pszczoły, za matką, szedł tłum. Do tych zaś, którzy byli najczynniejsi podczas manifestacji warszawskich, należeli dwaj bracia Nowakowscy: Edward i Karol.

Obaj zapewne jednako miłowali ojczyznę i gotowi byli dać za nią młode swe głowy, lecz Karol ściągnął na siebie bardziej uwagę siepaczy moskiewskich, zwłaszcza że otrzymał ranę podczas głośnej manifestacji, której przodował z krzyżem w rękę. Kiedy więc obaj dostali się do więzienia, nie jednakowe wyroki wydał na nich sąd krzywoprzysiężny. A mianowicie: Karol, jako bardziej winny, skazany został do ciężkich robót w kopalniach syberyjskich; — Edwarda zasądzono tylko na wygnanie do Irkucka, miasta, położonego na Syberji.

Otóż wtedy w duszy Edwarda, choć wyniosłej i jak stal hartownej, musiała stoczyć się walka bolesna. Brat jego, Karol, miał słabe zdrowie, mógłby więc nie wytrzymać pracy pod ziemią, mógłby ją zaraz na wstępie życia przepłacić. Więc Edward postanowił przybrać jego imię i pójść w zastępstwie brata do kopalni...

Powtarzam: nawet człowiek bardzo szlachetny, bardzo wielki nie mógłby powziąć bez walki podobnego postanowienia. Życie skazańców w kopalniach syberyjskich, do taczki przykutych, pozbawio-



nych słońca i powietrza, jest tak okropne, że nawet śmierć w porównaniu z tą wieczną męką, wydać się może prawdziwem błogosławieństwem. Musiało więc i serce Edwarda Nowakowskiego, — serce bądź co bądź ludzkie, — cofać się przed ofiarą i trwożyć na widok kielicha goryczy. Zwyciężył jednak samego siebie i poszedł z podniesionem czołem za brata do katorgi, w daleką północ, na kraniec świata...

Spytacie może, drodzy Czytelnicy, jak mógł Karol zgodzić się na zastępstwo? jak mógł przyjąć ofiarę? Na to pytanie odpowiedzieć nie poradzę. Wiem jeno, że opiekiedy człowiek nad człowiekiem posiada moc straszną, potrafi wmówić weń, co mu się żywnie podoba. Taką władzę i Edward musiał mieć nad duszą brata...

I nie krótko trwał pobyt jego w hutach: przez ośm lat pracował z wyczerpaniem wszystkich sił, przez ośm lat łańcuchy krwawiły mu stopy, a tęsknota serce... Uwolniła go stamtąd dopiero śmierć brata. Po otrzymaniu żałobnej wiadomości o zgonie Karola, wyznał kim jest, powiedział, że nie był nigdy skazany do ciężkich robót.

Za karę, że wprowadził w błąd władze więzienne, zesłano go jeszcze na dwa lata do Tunki. Poczem wrócił do Europy. Przez jakiś czas mieszkał w Odesie nad morzem Czarnem, a teraz od lat już wielu przebywa w Krakowie, w klasztorze OO. Kapucynów, jako zakonnik, pod imieniem brata Waława.

Bolesne przejścia nie złamały w nim ducha, nie odjęły wiary w zmartwychwstanie Polski; owszem, jak szczerze złoto z ognia, wyszedł z tych prób hartowniejszy, czystszy. Pracuje też z zapalem dalej dla urzeczywistnienia wielkich celów: naucza młodzież, pisze mądre książki. Na jakiś czas przed i po setnej rocznicy Kościuszkowskiego powstania wydawał przepiękną gazetkę, pod tytułem „Kościuszkowicz“, w której ogłaszał cenne wiadomości, odnoszące się do tej ważnej chwili dziejowej.

Jeżeli i dawniej nie zniżał nigdy myśli do marnych przyjemności życia, — to tem bardziej teraz znajduje cierpką jakąś rozkosz w umartwianiu ciała, w odmawianiu sobie wygod. Nie jada też nigdy mięsa, sypia na gołych deskach tapczana, wszelki zaś grosz żmudną zarobiony pracą, poświęca na otarcie łez cierpiącym bliźnim, lub na zakupno cennych, rzadkich książek.

Nie trzeba dodawać chyba, że człowiek tej miary nie powie nigdy o sobie nic takiego, co by go mogło wywyższyć w oczach świata. To też wszystkie szczegóły tu podane, wzięłam nie z żadnych pamiętników ojca Waława, ani z jego słów, jeno z opowiadań pana Bronisława Szwarca, który niegdyś wspólnie z braćmi Nowakowskimi pracował dla wolności Polski, a później całą młodość i wiek mężski spędził w okropnych więzieniach moskiewskich i na wygnaniu, na Syberji. Opowiadanie p. Szwarca zapadło mi głęboko w serce. Powtórzyłam je więc śp. Ludwice Godlewskiej, aby ją ucieszyć i pokrzepić na duchu w ciężkiej chorobie. Ona zaś wzruszyła się tem ogromnie i chciała na tle tak wzniesłego przykładu miłości braterskiej i poświęcenia osnuć powiastkę dla ludu i już układała ją sobie w myśli...

Ale śmierć warzy nadzieje i marzenia ludzkie, jak wiosenny mróz wybudzałe pęki drzew...

M. Wysłouchowa.



## Listy do „Zorzy“.



Odpowiedź ciekawym czytelniczkom w Kuźnicach na list, umieszczony w nr. 2 „Zorzy“.

Zaborcze, w marcu.

Szanowne czytelniczki ukochanej „Zorzy“ w Kuźnicach w Zakopanem!

Więc bardzo ciekawe jesteście, czy też i my, na dolinach, tak chętnie czytamy



ukochaną nam „Zorzę“? — To tak jest: z wielkiem ukontentowaniem czytamy my, podpisane, ale czy wszystkie czytelniczki tak są gorliwe, to za wszystkie my nie ręczymy, albowiem nawet nie wiemy, jak szeroko i daleko tę gazetkę czytają, tylko o tych wiemy dokładnie, które do gazetki coś napiszą.

A co się tyczy u nas, w Zaborczu, to chętnie czytamy, chociaż mamy do poczty około 7 kilometrów, a nawet u nas nie mamy dobrej drogi do naszej poczty w Brochowie. A nawet nasza wioska nie jest taka, jakby się komuś być wydawała. Jest to jedynie przysiółek, sporo oddalony od innych gmin, składający się zaledwo z 60 nr. i to jeszcze tu i ówdzie porzrzucanych.

Okolica nasza jest lesista, a zatem gleba jest więcej piaszczysta. Przed dziesięciu laty było tu u nas bardzo wesoło, gdyż naokoło lasy rosły. To też rozmaite ptaszyny śpiewały, aż się rozlegało i można się było z wielką przyjemnością nasłuchać w czasie wiosny ich śpiewom. I tak ślicznie było u nas, tak bardzo wesoło, coby wtenczas i gościom ze Lwowa byłoby przyjemnie odwiedzić naszą okolicę.

A może się nas zapytacie, Szanowne Czytelniczki, jak teraz jest u nas? O! teraz ogołocili nas z tego rajy, bo jak się wsadzili żydzi i prusaki w nasze przyległe lasy, tak wyprowadzili wszystko drzewo za granicę, w Prusy, że teraz nawet i wrona nie ma gdzie swego gniazda ułożyć. I tak pomału nasza Galicja przemienić się może na kraj, podobny do pustyni afrykańskiej bez drzew, o której w szkole my się uczyły.

Mocny Boże! co my też miały za rozkosz z temi lasami, jak to około św. Jana zrodziły się poziomki i borówki, a później zaś jak się zrodziły grzyby, to już większej uciechy my nigdy nie miały, jak w tych lasach, cośmy uganiały za niemi, aż dudniła ziemia. Dziś oglądnać się na te zręby, to aż się serce ścisza patrzeć na te pustki. Oj! panowie, panowie, coście porobili, żeście naszą rozkosz i cały dobytek w Prusa wewalili!...

Przy tej sposobności możemy Wam, drogie czytelniczki, tyle jedynie donieść, że u nas w dolinach śniegów tak wielkich nie było, ani też zawiei śnieżnej, mrozy mieliśmy także mierne, mgłów nie mamy żadnych. Wogóle zima była dosyć przy-

jemna. Nie małą pociechą w tych miesiącach zimowych było dla nas czytanie gazetki. Przed laty kilkunastu jeno ksiądz proboszcz czytał gazety, a pisarz gminny smarował piórem po papierze. Potem chłopcy czepili się pisania i czytania. A że dziw nam było patrzeć, jak gdzie niektóry chłopina siedział pod oknem, nad papierem, albo gazetą, a pocił się lepiej, jako przy rąbaniu drzew w lesie. A teraz nastały insze czasy, teraz my, dziewczęta wiejskie, siedzimy, jak profesorki, nad gazetami i nie jeno wrzecionem, lecz i piórem furczemy, — nie jeno białe mleko przelewamy, ale i czarny atrament. Trza śmiać się do pęku, ale i radować, że takie czasy nastały.

W naszych okolicach prawie żadnych fabryk niema, to też u nas trudno kilka groszy zarobić, tylko się trudnimy zawsze domowymi robotami w zimie, a w lecie zaś w gruncie pomagamy w pracy naszym rodzicom. I przeto od nas dużo ludzi co rocznie wyjeżdża do Ameryki za zarobkiem, i do Prus na letnie roboty.

Co zaś, drogie siostrzyczki, piszecie, że u was tak zawczasu się wydajecie, to niech wam Pan Bóg błogosławi w nowem życiu. Ale nam się widzi, że w 15-tu latach wydanie jest niemożliwe, bo do 15 lat należy do szkoły chodzić, a potem należy uczyć się gospodarstwa przy rodzicach. My u nas tak wczas się nie wydajemy, chociaż mamy po 18 i do 22 lat, bo to nie warto brać takie jarzmo tak zawczasu na siebie.

Na tem kończymy tych parę naszych wyrazów, przyczem pozdrawiamy wszystkie czytelniczki i czytelników ukochanej „Zorzy“ i całą redakcję i oddajemy pod opiekę Pana Boga, i prosimy o przebaczenie coby źle było napisane, bo jesteśmy tylko tak sobie, nie wiele nauczone dziewczęta.

*Marja Markulisówna i Apolonja Harłówna.*

*Śląsk. — Izdebne, w marcu.*

Nie wyzieraliście, drodzy czytelnicy, tak rychłego pisania odemnie, ale trafiła się nagląca sprawa, po wyborze Ochotniczej straży pożarnej w Izdebne, o której chcę Wam opowiedzieć. A ta jest: Ochotnicza straż ogniowa miała Walne zebranie w dniu 24. lutego 1901 w gminnej sali. P. Komendant straży ogniowej odczytał wszystkie rachunki i o ćwiczeniach za rok 1900.



Po odczytaniu nastąpił wybór dwóch kapitanów i dwóch zastępców tychże. Po ukończeniu wszystkich czynności Tomek Legierski, dobrze znany Redakcji naszej „Zorzy“, podał do rąk p. Komendanta prośbę do przeczytania wszystkim, co przeczyście p. Komendant do słowa przeczytał.

Prośba była wystawiona o polską komendę, bo do teraz była komenda niemiecka.

Po przeczytaniu tej prośby, zawołał p. Komendant, jak sobie życzą wszyscy strażacy? czy jednogłośnie język polski obrano? Na to stała się wielka dyskusja, jak gdyby 1/4 hekta wódki wypito. To widząc, p. Komendant zawołał: „Macie 5 minut czasu do rozmyślenia się!“ Wtedy stał się gwar niezmierny, bo między 36 strażakami było 8 zaprzańców swej narodowości. Po 5 minutach siadł każdy strażak na swe miejsce i poczęło się ustne głosowanie. P. Komendant z porządku woła każdego i każdy odpowiada, jaką sobie życzy mieć komendę: czy polską, albo niemiecką. Na polską komendę przeszło głosów 28, a na niemiecką tylko 8 głosów. A więc zaprzańcy przypadli i została polska komenda. Bo my, Izlebnianie, zawsze musimy być najpierwsi, choć my są ostatni w górach.

Wszyscy Strażacy zaraz się do mnie obrócili po wyborze i prosili, abym pisał do Lwowa, gdy tam mam znajomość, o książki polskie do musztry.

Ja wnet napisałem do „Zorzy“ i nie minęło wiele dni, a przyszły do nas książeczki. Zaczny sekretarz Krajowego Związku ochotniczych straży pożarnych w Galicji, p. Antoni Szczerbowski, dał nam za darmo 40 broszurek, pod tytułem „Obrona pożarna w gminach wiejskich“, a Redakcja „Zorzy“ przysłała na wzór podręcznik dla ochotniczych straży pożarnych, który zawiera wszystkie ćwiczenia, a przy tem arkusze polskich druków manipulacyjnych też na wzór. — Tak to zawdy spieszą nam z pomocą bracia z Galicji, za co im jesteśmy powdzięczni.

Była to walka, do której może się parlament zrównać. Była to jedna torka w gminie, a ta gminę szpeciła, a teraz już jest pszeniczka wyczyszczona.

Pięknie pozdrawiam wszystkich czytelników „Zorzy“, a jeszcze piękniej tych, co do niej pisują takie ważne i zajmujące kawałki, jako p. J. W. z Ustronia.

Juroszek Jan  
prezes Kółka rolniczego.



## Rozmaitości.

**W kwietnią niedzielę**, wraz ze święconemi palmami, zawita tą razą „Zorza“ do Waszych domów, Szanowni Czytelnicy, drogie Czytelniczki. A przychodząc w święto uroczyste, składa Wam tyle życzeń serdecznych, ile mięciutkich bazi srebrzy się na palmach, ile świeżo rozwiniętych listków na nich się zieleni. Zaś panom gospodarzom życzy też, aby słońko im świeciło w ten dzień, przysłowie bowiem powiada: „Pogoda w kwietnią niedzielę wróży urodzaju wiele“.

**Dnia 4-go kwietnia** przypada rocznica bitwy Raclawickiej, w której lud polski zwyciężył wojsko cara i odebrał mu armaty. W kwietniowym numerze naszej gazetki z roku zeszłego znajduje się szczegółowy opis sławnej onej bitwy. A ponieważ i nowi czytelnicy — prawie wszyscy — mają ów numer, więc dziś umieszczam jeno dwa obrazki, przedstawiające kosynjerów przed walką i po walce, a także ustęp z utworu Lenartowicza pod tytułem: „Bitwa Raclawicka“. Nie wątpię, że każdy z Was przeczyta z uniesieniem pieśń, którą poeta wyśpiewał na cześć chłopów-wojaków, choćby nawet znał ją skądinąd.

† **Wojciech Gerson**. Bolesną stratę poniosło malarstwo polskie. W pierwszej połowie lutego zmarł w Warszawie zasłużony artysta malarz, Wojciech Gerson. Przed półwiekiem, kiedy zaczęły się ukazywać pierwsze obrazy Gersona, nie było jeszcze w Polsce takich sławnych, jak dziś malarzy. On był jednym z pierwszych oraczy na niwie sztuki polskiej i pracował na niej gorliwie, umiejętnie, przez całe życie, bez chwili wypoczynku. Wyliczyć prawie niepodobna olbrzymie obrazy, które wyszły z pod jego pędzla, takie ich innóstwo. Wiele instytucji, wiele stowarzyszeń, sztuce poświęconych, jego energii niespożytej zawdzięczają swoje powstanie. On też był kierownikiem przez długi szereg lat warszawskiej szkoły rysunkowej, z której wyszli sławni na cały świat malarze. Treść obrazów Gersona jest bardzo rozmaita. Malował obrazy historyczne, jak na przykład: „Wjazd Królowej Jadwigi do Krakowa“, — malował obrazy religijne i sceny z życia rodzinnego, a także krajobrazy: góry, lasy, pola, łąki. Często też bardzo lud wiejski zjawia się w obrazach Gersona, zwłaszcza lud



górski, bo ten artysta rozmiłowany był w Tatrach i spędzał nie jednokrotnie lato w Zakopanem. Z obrazów ludowych zmarłego malarza podobają by się Wam z pewnością najbardziej: „Pogrzeb wiejski“, „Pożegnanie z koniem“ i „Dzieci góralskie“.

O szczerem sercu Gersona dla ludu świadczy i to, że podczas wędrówek swoich po kraju badał umiejętnie a z miłością życie włościan, ich zwyczaje, podania, ich stroje malownicze. Ogłosił nawet piękną książkę pod tytułem: „Ubiory ludu polskiego“...

O niechże mu lekka będzie ziemia ojczyzna, w której spoczął po trudach żywota i niechaj mu świeci światło wdzięcznej pamięci ludu polskiego!

**Setna rocznica śmierci** Ignacego Krasieckiego, biskupa Warmińskiego, która minęła w marcu bieżącego roku, przypominała światu o tym zdolnym pisarzu. Dziś ludzie rzadko czytają utwory Krasieckiego, to też zdziwiłam się prawie, widząc aż kilka tomów jego dzieł w bibliotece pana Jana Głajcara, światłego rolnika śląskiego we wsi Sibicy pod Cieszynem. Ale przed stu laty Krasiecki cieszył się wielkim rozgłosem i sławą, a książki jego oświecały społeczeństwo i budziły ochotę do czytania. Nazywano go też „księciem poetów“, a inny pisarz, który żył w tych samych czasach, co Krasiecki, taką mu oddaje pochwałę: „A nej pisania sztuki, z dowcipem i gustem, tyś pierwszy dał przykłady pod naszym Augustem“... August było to — jak wiadomo — jedno z imion ostatniego króla polskiego, Stanisława Augusta Poniatowskiego, za którego rządów Ignacy Krasiecki żył i pisał.

Do najlepszych utworów Krasieckiego należą jego „Bajki“ i „Satyry“, które i po dziś dzień nie straciły znaczenia. Autor pragnął szczerze pouczać swoje społeczeństwo i leczyć je z rozmaitych wad, przywar, szkodliwych nawyków. Dlatego też w satyrach swoich wyśmiewał z wielkim humorem i dowcipem marnotrawców, karcarzy, pijaków, pyszniących się głupców, a także próżne, niemądre kobiety, co jeno o strojach i zabawach myślą. Zwyczajny mu humor i dowcip przechodzą jednak w zgrozę i oburzenie, gdy chłostsze większe jeszcze zbrodnie, a mianowicie, gdy mówi o tych, co ciemiężą lud, co działają na szkodę własnego narodu, co „kradną ojczyznę łatwą i powolną“. Najlepsza z onych satyr ma tytuł: „Świat zepsuty“.

Krasiecki spędził młodość w Warszawie. Tu napisał pierwsze swoje utwory, tu w pysznym i bogatym swoim domu urządzał tak zwane „wieczory uczone“. Na tych wieczorach bywał i król i wszyscy światlejsi ludzie z owych czasów. Krasiecki czytywał swoim gościom własne

dzieła i inne mądre rzeczy, czem nie mało przyczynił się do krzewienia oświaty i budził w ludziach upodobanie do czytania, do nauki. I to należy mu uważać, jako zasługę.

W r. 1772 przeniósł się do Warmji i zamieszkał w starym zamczysku Heilsbergu. Tu, w Warmji napisał daleko więcej książek, niż w Warszawie. Ale na tym drugim okresie jego życia ciąży bolesne oskarżenie. Oto w tym samym r. 1772 nastąpił pierwszy rozbiór Polski i Warmja została zagrabiona przez króla pruskiego, Fryderyka. Owoż dla tego Fryderyka, który stał się mordercą Polski, Krasiecki był zanadto pobłażliwy, przyjacielski, zanadto też Ignął do Niemców. I tego rozdarła ojczyzna nie może mu zapomnieć, nawet składając hołd jego zasługom w setną rocznicę zgonu.

**Wichura.** Po dniach słonecznych, ciepłych, wiosennych przyleciała nagle wichura w końcu marca i zasypała śniegiem wdzięczne pierwiosnki, niskie stokrotki, czyli gęsie łapki, zabiła żółte motyle, zwane cytrynowcami, które już się unosiły nad zieleniejącą trawą. Ludzie spoglądają ze smutkiem w szare niebo, na martwą ziemię, a gospodarze nawet z trwogą, bo śnieg marcowy bywa gorący i psuje zasiewy. Więc na pociechę stroskanym powtórzę wiosenną śpiewkę nadziei, ułożoną przez Artura Oppmana, poetę, mieszkającego w Warszawie, który podpisuje zazwyczaj swoje utwory dwoma sylabami: Or-ot. Piosenka owa brzmi, jak następuje:

Próżno ty się miotasz w polu,  
Wichuro,

Próżno ludzi straszysz pieśnią  
Ponurą.

Przyjdzie wiosna, wonne kwiaty  
Rozsieje,

Porozprasza wszystkie smutne  
Zawieje.

Przyjdzie wiosna, uśmiechnięta  
Królewna,

Jak sen piękna, niby anioł  
Powiewna;

Spojrzy na świat błękitnemi  
Oczyma

I wnet pierzechnie czarownica,  
Zła zima...

Przyleciały już bociały  
Wróżbity,

Zajaśniały rozechmurzone  
Błękity;

Płyną polem jakieś wonie  
Wiosniane,



Wstają ze snu ludzkie serca  
 Stroskane...  
 Więc napróżno ty się miotasz,  
 Więchuro,  
 Próżno ludzi straszysz pieśnią  
 Ponurą;  
 Nie zatrwoży ich twój lament  
 Żałośny,  
 Oni czują, że już bliski  
 Dzień wiosny...  
*Or — ot.*



## Odpowiedzi od Redakcji.

*Szanowna „Jednota Narodowa poszumawska w Trzeboniu“.* Życzenie spełniłmy z całym poświęceniem i radością. A teraz wołamy choć zdaleka, lecz szczerze: „Na zdar“ zacnej pracy narodowej!

*P. Marja Markulisówna i Apolonja Harłówna, w Zaborczu.*

Nie wiecie, miłe Czytelniczki, jak daleko i szeroko rozchodzi się gazetka? — A więc powiem, z uradowaniem wielkiem powiem. Oto najprzód, skoro jeno wydostanie się z ciężkiej maszyny drukarskiej, biegnie, kędy ma najbliżej, to znaczy do wiosek i miast wschodniej Galicji. Ale tu niebardzo jeszcze ją znają, niebardzo zatrzymują po drodze. Więc pomyka, dalej, ku Mazurom! Tam choć częste piaski, laski, lecz lud dzielny, krewki, pracowity, do wszystkiego skory: „czy do pitki, czy do bitki, czy do szklanki, czy do tanki, czy to przyjdzie do piosenki, czy dołożyć przyjdzie ręki, czy nałożyć przyjdzie głowę“. — Miło „Zorzy“ wśród przyjaciół szczerzyeli, więc też zagłada do chat wielu, bardzo wielu. Ale potem ogarnia ją tęsknica okrutna za górami, za wysokimi Tatrami... Więc z dolin ku nim idzie. „Czeladź górską też nie podła: lud wysmukły, niby jodła, niby górski potok szybki, jak ptak lekki, jak pręt gibki“. — Z tych gór wyniosłych, kamiennych, chmurnych łatwo gazetecę zlecić niżej, do innych, słonecznych, zielonych, żyźnych! Te góry, w jasne buki i śmigłe smereki zaodziane — to Beskidy śląskie! Dzwonią tu owsy wiotkiami kistkami, lecz i pszenica ciężkim szumi kłosem; kołyszą się w pysznych

lasach olbrzymie paprocie, lecz w sadach przy każdym domu prawdziwe zatrzesienie śliwek, gruszek słodkich i jabłek rumianych, jako lica nadobnych Ślązaczek. W tej ziemi ślicznej nie brak jeszcze nikomu chleba ani pracy, — w tej ziemi oświeconej daleko więcej szkół, niż wiosek, — w tej ziemi gościnnej „Zorza“ ma strasznie wielu przyjaciół. — Daleko ze Śląska do Ameryki i Ślązacy tam nie chodzą, ale gazetka chce i musi! Jakoż płynie przez morze stadem ogromnym, kilka setek arkuszy liczącem. Spieszmy do wychodźców naszych, aby im wieści zaniesić z wiosek rodzinnych i o starym przypomnieć kraju. Potem... Ale Wam, miłe dziewczęta, kotwi się zapewne słuchać tak długo o wędrówkach gazetki? — Więc nie powiem już nic więcej — ani słóweczka!...

*P. Kajetan Kościński w Prusach Zachodnich.* Wiadomość, że gazetka nie dochodzi, zmarławiła nas bardzo. Proszę jednak nie myśleć, że to wina „Zorzy“. O nie! — Ona z radością największą biegnie tam właśnie, gdzie trudniej o książki i gazety polskie. Było to tak: W lutym poczta zwróciła nam „Zorzę“ z niegrzecznym napisem: „Wo?“ — dla tego, że nazwa ostatniej poczty była po polsku wymieniona. Więc potem, choć z żalem, pisaliśmy po niemiecku. Widać jednak, że i to nie pomogło. Teraz wysyłamy wszystkie numera powtórnie. — List bardzo ładnie i starannie napisany. Poznać z niego można odrazu, że pilnie musisz się przykładać do nauki, mały, drogi Czytelniku — i że kochasz swój język ojczysty. Seiskamy Cię za to, my wszyscy stąd, po tysiące razy.

*P. Wojciech Zawada w Dąbrowicy.* Załatwię wnet. Oby „pogoń za szczęściem“ udała się jak najlepiej, najpomyślniej! Zapewne, dobrze było, gdyby „Zorza“ leciała w świat, ku ludziom tak wartko, jak pieśń ludowa, co to „dzisiaj le dwie brzękła w polu, jutro już ci na Podolu, obleciawszy całym krajem, już się wdzieczy nad Dunajem, w mazowieckim klaszcze lesie, po karpaczkich górach pnie się, co najdalszej dojdzie braci i rogatki nie zapłaci“...

*P. Fr. R. w Brzeżanach.* Za list bardzo dziękuję. Odpowiem i wyjaśnię. Proszę wybaczyć zwłokę. Wiele na nią się złożyło. A najbardziej to, że chcąc wyczerpać poruszone przez drogą Panią sprawy, należałoby tom napisać — nie list.

*P. Stanisław Kwieciński w Kurimie na Węgrzech.* Komplet „Zorzy“ z roku ubiegłego wysłałmy. Książkami powieściowemi obawiamy się przyczynić kłopotu, bo nie wiemy, ile pieniędzy Pan na to przeznaczą. Proszę więc słówko otwartą kartą napisać, a wysłamy wnet co najlepsze i najpożyteczniejsze. Nawet za 2 lub 3 korony można mieć kilka ładnych książeczek, całą biblioteczkę



małeńką. Życzę serdecznie wszelakiego powodzenia w obecnej stronie.

*P. Antonina Bródka w Wólce Turbskiej.* List ładnie napisany, wielką sprawił mi uciechę. Ale bardziej jeszcze raduję się, że chcecie obie z towarzyszką czytać i oświecać się. Z oświaty płynie na ludzi pojedynczych i na cały naród tyle dobrodziejstw, że tego ani słowem nie wypowiedzieć, ani pieśnią nie wyśpiewać. Szczęść-że Wam Boże w dobrych zamiarach, młode, miłe Czytelniczki.

*Szanowna Czytelnia Szkoły ludowej w Karwinie.* Da gazetki to zawsze pomyślne zdarzenie trafić do Czytelni, która jest jakby wielką, z mnóstwa członków złożoną rodziną. A cóż dopiero, kiedy chodzi o czytelnię, co stoi, jak twierdza, na rubieży rozdartej ziemi śląskiej? — To też gorąco, braterskie ślę Wam pozdrowienia i życzę świąt tak wesołych i jasnych, jak węgiel karwiński jest ciemny!

*P. Gustaw Fucjek w Karwinie.* Bardzo bym chciała, aby „Zorza“ wydała się nie gorsza od tego, co Pan o niej słyszał i czytał. Ale kto wie! Człek pragnąłby skupić w gazecie moce dobrych i pięknych rzeczy, jeno to bieda, że od chęci do czynu daleko!

*P. Mikołaj Galewicz w Ottyniowicach.* To prawda, że lud polski, przesiedlony do wschodniej Galicji, więcej jeszcze powinien troszczyć się o oświatę i czytać polskie gazetki, aby nie zapomnieć mowy ojczystej, najdroższego skarbu każdego człowieka. Więc też dziękuję po tysiąc razy za rozpowszechnianie „Zorzy“ w Kniesiole.

*P. Marcin Skiba w Skotyszynie.* Raduję się, że mapka Polski historycznej zadowoliła Szanownego Pana. Co do społecznej to tak: pra-

cuje od dłuższego już czasu nad jej kreśleniem jeden z profesorów lwowskich, p. Majerski. Ku jesieni wyjdzie już prawdopodobnie ta mapa z druku i wtedy pospieszę przesłać ją Panu. Oplaci się poczekać, bo będzie dokładna i tania. Będą na niej nawet góry i doliny oznaczone. Podziękowania i życzenia przyjazne zasyłam.

*P. H. Ramer.* Za życzliwość dla gazetki i za piękny artykuł proszę przyjąć szczerze podziękowania. Wydrukujemy w maju — do bieżącego nr. przyszło za późno.



## Od Administracji.

Szanownych Czytelników, którzy w kwietniu ubiegłego roku nadesłali przedpłatę roczną na „Zorzę“, proszę będziemy, aby teraz zechcieli wnieść opłatę tylko za trzy kwartały, to jest do stycznia 1902 roku. Będzie to wielkie nławwienie dla Administracji, która w przeciwnym razie podwójnie musiałaby prowadzić rachunki. Przedpłata wraz z kosztami przesyłki — wynosi do końca bieżącego roku **48 halerzy**, czyli 24 ct., dla tych co biorą po jednym egzemplarzu gazetki. Wszystkie numera „Zorzy“ z r. 1900 kosztują, wraz z przesyłką, 18 centów.



**Treść numeru:** Kwietnia niedziela. — Urywek z „Bitwy Raclawickiej“. — A... B... C... — Czyny nauczające. — Listy do „Zorzy“. — Rozmaitości. — Odpowiedzi Redakcji.